

Nepal - Himalaje - 2005 - Tam huczy wiatr i świeci ostre słońce.
Odcinek 3. Dingboche w kierunku Chukhung.

Namaste:) Wtedy liczyło się tylko to, co przed nami - ścieżka, oddech i kolejny odcinek trasy ukryty gdzieś za granią.



Na wąskich półkach, należało uważać na jaki i zawsze przepuszczać je od strony ściany, a nie od strony przepaści.



Te ważące kilkaset kilogramów zwierzęta są raczej przyjaźnie nastawione do człowieka, ale mogłyby choćby z sympatii poczęstować go kuksańcem i nieboga znalazłby się kilkadziesiąt metrów niżej, wcale nie na własne życzenie.



Dlatego, choć bez obaw mijałam je na szerokich rozstępach szlaku, tak ze strachem przywierałam do skał, gdy całym stadem mijały nas na czasem tylko metrowej szerokości ścieżkach, jak te poniżej. A było ich wiele. Z jakami musieliśmy się jakoś dogadać:)



Nadejście objuczonego towarami stada sygnalizowały dzwonki, które brzmiały mi w uszach jak alarm lotniczy. Jaki były wkomponowane w ten krajobraz, musiały ciężką pracą zarobić na koszyk trawy. Taki los miały zapisany w genach. Ale i tak czułam się na trasie bezpiecznie, choć przeziębienie nie chciało mnie opuścić.



W centrum Lhotse (8516) - czwarty szczyt świata. Po prawej stronie strzelista i majestatyczna Ama Dablam (6812). Raj dla oczu!



Krótki odpoczynek w drodze do Chukhung, na tle monumentalnej ściany Lhotse. Jesteśmy teraz pomiędzy Dingboche a surowym krajobrazem lodowców.



Dla ludzi w namiotach noce były zimniejsze o kilka stopni. W naszych pokojach temperatura oscylowała w granicach 1 - 4. Dobrze, że zabrałam kurtkę puchową. Po trekkingu podarowałam ją szerpie, Makarowi. Miałam też dobry śpiwór, który w Kathmandu pomógł mi kupić Mariusz. Na noc zakładałam ciepłe polary, wełniane rajstopy, na dłonie rękawiczki i hajda do Morfeusza.



W dzień, gdy przygrzało słońce było bardzo ciepło. Rozbieraliśmy się z kurtek, a w wolnych chwilach wystawialiśmy do nieba nafaktorowane kremami buzie. Należało uważać, bo słońce na tych wysokościach jest niebezpieczne.



Przedstawię Ci teraz moich współtowarzyszy. Nasza grupa oprócz Mariusza i Hirana liczyła 14 osób rozmaitych profesji: pracownik naukowy, ochroniarz, właściciele firm, radca prawny, informatycy, lekarz, dwie pedagogi. Z całej Polski, m.in. Wrocławia, Skierniewic, Krakowa, Tychów, Warszawy, Gosia z Australii i Marcin z Danii. Sympatyczni, elastyczni, żywiołowi, mający z górami kontakt raczej okazjonalny. W każdej sytuacji gotowi nieść pomoc. Niepokojne dusze podejmujące jak ja wyzwania losu. Wszyscy staraliśmy się, aby w grupie panowała przyjacielska atmosfera.

Leszek i Marcin.



Adam i Sylwek.



Grzegorz, Jola, Bartek i Grażka.



Hiran z Marleną oraz Mariusz.



Gosia i Ola.



Piotr, za nim Sylwek, po prawej Janusz.



Kilku chłopaków było kondycyjnie nie do pobicia, zresztą nikt tego nawet nie próbował tu robić, nie po to przyjechaliśmy. Jednak byłam pełna podziwu, gdy dochodzili do każdego wyznaczonego codziennie celu ze swoimi ciężkimi i wielkimi plecakami - prawie dwie godziny przed nami. Kiedy my powoli w swoim tempie, docierałyśmy na miejsce, oni czekali już na nas z gorącą herbatą i uśmiechem. To niesamowite, jak ta przestrzeń i wspólny wysiłek potrafiły połączyć ludzi o zupełnie różnej kondycji.

Każdy z nas przeżywał tę drogę na swój sposób, ale wieczorem przy wspólnym stole różnice przestawały mieć znaczenie. Tworzyliśmy zgrany zespół.

O Krzysiu też pamiętałam.



Nasza ekipa byłaby niekompletna, gdybym nie wspomniała o Purnie. Szerpa Purna, asystent Hirana, to była postać egzotyczna. Czasem mi towarzyszył podczas marszu, bo słabłam z godziny na godzinę, a poza tym chciałam się nauczyć jakiejś nepalskiej piosenki. Przyswoiłam zwrotkę jednej, a potem nauczyła się jej grupa. Śpiewaliśmy ją często, budząc podziw globtroterów.

[Reson piriri, reson piriri, undera dzianki dada na bandzian reson piriri....](#)

Purna miał „talent” do robienia zdjęć. Zawsze mnie fotografował od nosa do nieba albo od brody w dół. Zadziwiające było, jak on to robił. Drugi mój ulubiony szerpa - Makar, miał te same „zalety”. Nie wiem skąd się brała ich nieumiejętność robienia cykania zdjęć, ale moja pedagogiczna energia i zapał w podawaniu im instrukcji - nie odnosiły skutku. Może oni mieli oczy prześwieczone?

Makar.



Purna.



Oprócz Purny i Makara szła z nami jeszcze grupa równie pracowitych i sprawnych szerpów. Cieszyli się, że zarobią rupie, dźwigając nasze toboły. Szkoda, że bariera językowa nie pozwalała nam na lepszą komunikację, bo ci młodzi Nepalczycy byli sympatyczni. Ale uśmiechaliśmy się do siebie, kiedy zręcznie mijali nas na szlaku i wędrowaliśmy dalej.

Spośród wszystkich szerpów dla mnie najważniejszy był Makar. Najczęściej mi towarzyszył i odegra istotną rolę później.

Szerpowie są niezastąpieni w Himalajach. Bez ich obecności ekspedycje wysokogórskie byłyby niemożliwe, dlatego z szacunku do nich pokażę Ci naszych pozostałych pomagaczy.



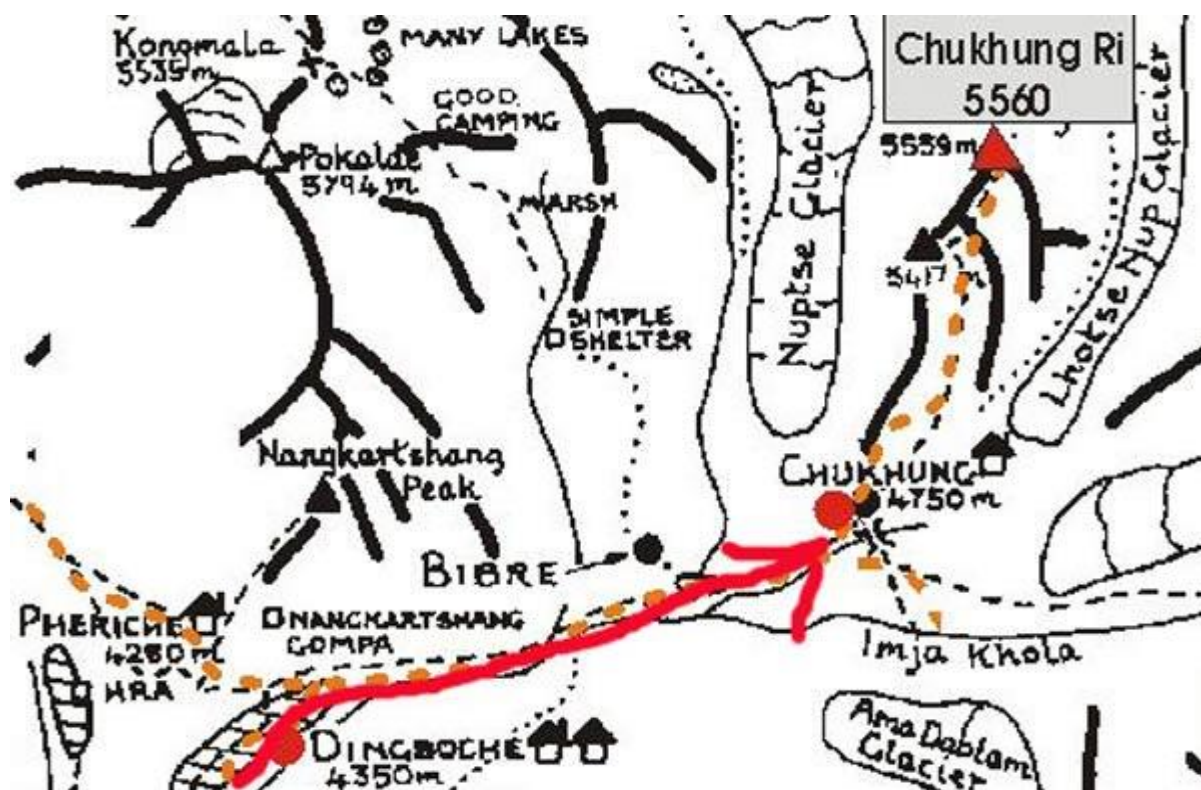
Mieli młodzieńczą energię, która pozwalała im z lekkością pokonywać mordercze, górskie podejścia.



Choć dzieliły nasze domy tysiące kilometrów i kultura, to wspólny szlak połączył nas w zgraną ekipę. Bez ciężkiej pracy i niezłomnego ducha tych szerpów, nasze marzenie o dotarciu pod Everest nigdy by się nie spełniło.



Szliśmy dalej zgodnie z grafiką. Dla mojej duszy był to szlak po raj. Dla ciała niekoniecznie. Znajdowałam się jednak w miejscu, o jakim marzyłam.



Podziwiałam krajobrazy, poznawałam w osadach życie Nepalczyków, fotografowałam ciekawe miejsca i cieszyłam się każdą chwilą. Moim nieodłącznym atrybutem był termos z kojącą cytrynową herbatą. Już mało co mówiłam. Jednak mimo to chciałam dojść do ostatecznego celu, czyli do Gokio Ri (5560). Właśnie tam roztaczał się najpiękniejszy widok na cały Everest.

Z czasem i koledzy uruchomili swoje prywatne apteczki. Wielką sztuką było uniknąć przeziębienia. Różnice temperatur, zimna woda do mycia lub gorący prysznic pod gołym niebem - nie sprzyjały zdrowiu. Jedni zażywali, bo byli chorzy, inni profilaktycznie. Mariusz aplikował nam już wtedy diuramid przeciw chorobie wysokościowej. O porządnej kuracji na trasie nie było mowy. Świt zwiastował kolejny wielogodzinny marsz i albo chłodzenie organizmu na silnym wietrze albo przegrzanie na słońcu. W górę i w dół, dziesiątki zakrętów bez końca. Wyżej, coraz wyżej. Na początku chętnie szłam w dół, ale potem przyszedł po rozum do głowy, bo ile setek metrów było w dół, tyle potem pod górę.

Szutrowe wzgórza. Kolejny, wymagający odcinek drogi do Chukhung.



Ama Dablam.



Nuptse (7861) - zachodnie ramię potężnego masywu Lhotse.



W następnym odcinku, będzie już bardzo ciężko. Pozdrawiam Cię serdecznie.

Renata Bednarz - Zielona Gałązka

www.renatabednarz.pl